



WIGILIA SAMOTNEJ KOBIETY

PRZEZ

GABRYELĘ ZAPOLSKĄ.

I.

— Więc paniutka do nas na wigilię nie raczy? Czy to możliwe?

Milczenie.

— Ale proszę, proszę się namyslić. Będziemy sami swoi, dzieci będą takie szczęśliwe. One tak paniutkę kochają...

— Naprawdę?

— Daję słowo.

Promienie słońca grają przez witraże jadalnej sali. Obie panie siedzą przy stole, na którym położono na przedce ładny, barwny obrusik. Dwa kieliszeczki, jak dwa tulipany, małe talerzyki, pod kłoszykiem trochę sera, w ładnej terynce galareta z ryb — jakieś cukierki, słowem całe „drugie śniadanko“, podane szybko, usłużnie, zwinnie komus, kto się spieszy.

Ola odsunęła się trochę od stołu, tonąc jakby w fałdach swego miękiego, białego szlafroka. Włosy związała niedbale w duży węzeł i tak siedziała garbiąc się trochę jak ta, której jest „wszystko jedno“, co o niej powiedzą. Mimo to — mimo pewnego zrezygnowanego zaniechania, była jeszcze ładną w rozkwicie swych lat jesiennych, z piętnem jakiegoś delikatnego wdzięku w smutnych, szafirowych oczach. Była tak zwaną „separatką“ — po formie dla przyczyn, których ani ona, ani jej mąż określić teraz nie byli w stanie. Rozeszli się. Był mały skandalik w tym cichym mieszczańskim światku. I potem — wszystko ucichło. Ola mieszkała sama, na ustroniu, nie znając prawie nikogo. Lecz mimo jej woli ściągać zaczęły ku niej jakieś istoty, mające zapobiegliwość w oczach. — Ola patrzyła na nie jakby przez mgłę. Tylko dziś, w ten dzień wigilijny, w który nagle została sama, starała się rozproszyć tę mgłę. Siedząca naprzeciw niej kobieta, owinięta dostatnim szalem i ubrana z pewną zamożnością, mówiła słodko i miło. Starała się przynajmniej. Ola wsłuchiwała się w ten głos, czy nie znajdzie jakiegoś dźwięku, który ją poruszy. Była to właścicielka kamienicy, w której Ola mieszkała. Miała istotnie miłe dzieci. Ola usiłowała wmówić w siebie, że są nawet bardzo miłe. I prawie już zdecydowała się zejść tam na dół o porze uświęconej i usiąść przy ich stole.

— Byłe nie sama! byłe nie sama... dźwięczało jej w uszach jak litania — zresztą... kto wie... może oni mnie naprawdę lubią.

Pani w szalu wstaje, zbiera fałdy, zbiera się cała — dyga — a zwłaszcza rzuca oczami dokoła. Ładne meble, ani słowa. W salonie zwłaszcza cenne jakieś starożytności, parawany, biurka. — Wszystko to musi być dużo warte.

— A więc... przyjdę! — mówi Ola, stojąc oparta o stół.

Pani w szalu bardzo rozpromieniona, dziękuje. — Jacy radzi, jacy radzi będziemy... — powtarza zmierzając ku wyjściu — bardzo, bardzo. Pani jest nasze oczko w głowie. Bo...

Przystanęła. Zbiera szal, zbiera siebie.

— Bo ludzie mówią... a pilnujcie pani Oli, a dogadajcie jej... kto wie, czy o dzieciach waszych nie pomyśli.

Powiedziała, uśmiechnęła się i wyszła.

Zdawało się jej, że powiedziała coś bardzo ciepłego.

A od tego „ciepłka“ aż po Oli mróz przeszedł.

Zapisze?...

Zapisuje się przed śmiercią.

Więc ona tam za tym stołem będzie siedzieć trupem. Będzie miała tylko wartość trupa, który zapisał...

Nie.

Nie pójdzie tam!

* * *

W tej chwili wchodzi kucharka, troszkę z fryzurą na bakier.

— Więc jakże wielmożna pani? czy co się robi, czy będzie kto... już wszędzie zaczeni, u nas jedno nie.

Przez umysł Oli przechodzi rozpaczliwy wysiłek. Kogo zaprosić? Ci, których zna, mają swoich, lub są tacy, z którymi się niechętnie zasiądzie przy stole wigilijnym. Niema nikogo. Ani z kim zasiąść ani gdzie pójść. Sługa stoi przed nią pokornie zuchwała i świdruje ją wzrokiem. Ola czuje, że sługi jej nie lubią i pogardzają „bez to, że z mężem nie siedzi“. — Ale nie chce, aby z niej szczydziły.

— Nie. Ja idę do znajomych! — mówi i sili się na obojętność — wy chciałyście obie iść do matki. Dostaniecie po piątce, wina i pójde kupię wam bakalii... Tak.

Sądzi, że hojnością swoją przebłaga sługę. Lecz ta nic nie odpowiada. Wychodzi do kuchni i Ola mimowoli ze ściśniętym sercem słyszy, jak coś mruczy ze siostrą, która jest za pokojową.

II.

Ola ubiera się w kapelusz i futro.

I ona pójdzie po „zakupy“.

Mimowoli myśli — rok temu.

W tem samym mieście, które było jakieś cieplejsze, przytulniejsze — biegła już od dwóch dni, wydając z rozkoszą pieniądze, zwołując cukierki, jabłka, ryby — aniołki, pantofelki, zegarki z karmelu na drzewko.

Bo Ola stroiła co rok drzewko dla siebie.

Zdawało się jej widocznie, że to dla siebie, bo gdy została sama ze sobą, nie stroi już drzewka...

Rozlega się dzwonek.

Wsuwa się ktoś, jakaś pani. Druga, grzeczna, miła, sympatyczna. Jest młoda i ładna. Sąsiadka. Owinięta także w pled. Ubrana mniej dostatnio. Ma oczy szafirowe jak dwie gwiazdy. Żona kupca z dołu. Kupca żelaza.

Ola kilkakrotnie przystawała na schodach, ujęta jej wdziękiem i wdziękiem jej dzieci. Szczególniej Rysia, mała dziewczynka dwuletnia, która dzień cały zajęta jest ndawaniem, iż czyta książkę lub gazety. Jest tak błękitnooka i promienna jak jej mama. Samotną Olę szarpnęło coś z tego. Taka odrobina w białym kapturku. jakiś stosunek przyjazny związał się tą samotną kobietą i młodą matką. Ola słyszała dzieciom całe pudło zabawek. Zdawała naturalne, że matka przywdawać jej za tą grzeczność.

I w rzeczy samej młoda kobieta dziękuje.

— Dzieci takie szczęśliwe... — mówi — uspokoić ich nie mogę.

— Myślałam, że pani zabawki im da według zwyczaju o gwiazdce...

— Ach! nie! za małe, aby się stosowały do zwyczaju. A potem myślałam, że w ten sposób zapewnię sobie spokój na wigilię. Tyle mam do roboty.

— Dużo będzie osób?

— Sami swoi... ale...

Zawahała się. Patrzy z pod długich, ślicznych rzes.

Widocznie chce jeszcze coś powiedzieć...

— Ale... tylko nie śmiem powiedzieć...

— Proszę, proszę... niech pani mówi.

— Gdyby... gdyby... tak pani zechciała do nas. To obok, nie będzie kłopotu z powrotem... bo to zawsze trudno o te dorożki. A potem można w szlafrocuku... Tak... Proszę... my wszyscy bardzo prosimy...

Chwileczkę urywa. Topi swe cudne szafiry w smutnych żrenicach Oli.

— Rysia także prosi.

Mimowoli Ola czuje się wzruszona. Tak. Dlaczego zapomniała o tych ludziach? Gdy była bardzo chora — młoda kobieta odwiedzała ją przyjaźnie, przynosiła jej kwiaty, swoje dzieci. Tu, w tej ślicznej jasnej sypialni siadywała przy jej złocionym łóżku, trzymając ją za rękę, bardzo słodka i miła. Gdy Ola bardzo cierpiała, ona miała lzy prawdziwe w szafirowych oczach. Co więcej, gdy raz Ola w zdenerwowaniu chorobliwym rzuciła — „zapiszę Rysi co mam“ — ta młoda kobieta porwała się cała różową.

— Co pani mówi!... co pani mówi!... Niech pani nam jak najdłużej żyje... Rysia nic od pani niechce.

I głos jej drżał łzami. Oburzona była. Ola ją przeproszała długo, zanim się tamta uspokoić mogła.

Tak. Ola widzi teraz jasno tę scenę. I z jakimś uczuciem wielkiej ulgi zwraca się ku stojącej przed nią kobiecie.

— Dobrze... przyjdę do was... tak... do was przyjdę!

Tamta aż ku rękoma Oli się schyliła, taka bardzo wdzięczna.

— A toż będzie święto! a toż będzie święto! woła radośnie owijając się w swój szal. — A lubi pani rybę po żydowsku? Ciocia moja przyrządziła... no... po królewsku...

— Lubie. lubie!... powtarza rozweselona Ola.

Idą razem przez mały salonik Oli, w którym ta czasem pracuje, pisze, czyta. Nagle kupcowa żelaza wpada w ekstazę na widok świeżo oprawionych książek Oli i nowej mahoniowej, ozdobionej bronzami biblioteki.

— Och jakie ładne!... — mówi z nabożeństwem niemal analfabetki przed grzbietami wyłożonymi, na których widnieją nazwiska tych, którym ludzie miano geniuszów przypięli.

— Śliczne... — powtarza. Czy to nowe?

— Nie, to nadeszły... ktoś mi je odesłał. Tylko oprawa nowa.

— A!... śliczna... cudna.

I nagle, jakby szpicrutą podcięta, wyrzuca szybko i z jakimś tryumfalnym zacięciem:

— „A mówiłam, aby pani tylko Rysi i książki zapisała, bo przecież pani musi mieć ładne!“

Wychodzi słoneczna, promienna — ciepła.

A od tego „ciepłka“ aż mróz przebiega po duszy Oli.

— A mówiłam... aby pani tylko zapisała...

Znaczy się, że była to cała dysertacja, częsta nad tem, co ta umierająca zapisywać noże.

— ...tylko...

Aby nie zapomniała o tych... o tych dla... o wszystkim... co mieli właśnie

...słodka, miła kobie... a tak szlachetnie... się na jej choro... we majaczenie o uczynie... na zapisu na korzyść Rysi. Ola ją widzi siedzącą za stołem w świetle lampy, karmiącą żarłoczną Rysię kaszką z mlekiem i równocześnie mówiącą:

